

KWADRYGA

KWADRYGA

KWADRYGA

KWADRYGA

KWADRYGA

KWADRYGA

KWADRYGA

KWADRYGA

KWADRYGA

KWADRYGA

STYCZEŃ

1929

CENA 1 ZŁ.

T R E Ś Ć

Rewolucjonistka.	<i>Lucjan Szenwald</i>
Wiosna.	<i>Marja Lewinówna</i>
Kuszenie.	<i>Nina Rydzewska</i>
Rekord	<i>Władysław Sebyła</i>
Zoo	<i>K. I. Gałczyński</i> ✓
Zagłębie Dąbrowskie.	<i>Stanisław Wygodzki</i>
Ja i areoplan.	<i>Johannes Barbarus</i>
Czyhanie na Boga.	<i>Stanisław Ryszard Dobrowolski</i> ✓
Rachunek.	<i>Stefan Flukowski</i>
Wiersze jesienne.	<i>Włodzimierz Słobodnik</i>
Śpiew mrącego ostu.	<i>Stanisław Ciesielczuk</i>
List do matki.	<i>Stefan Flukowski</i>
Zdarzenie w ostatniej ósemce	<i>S. Turowski</i>
Wikta.	<i>Jan Sobczak</i>
Zagadnienia barwokości.	<i>Tadeusz Almakiewicz</i>
Wody na młyn Lewiatana.	<i>Stanisław Ryszard Dobrowolski</i>
Komunikat Biura Syndykatu Prasy Artystycznej.	

Do numeru dołączamy, jako wkładkę — reprodukcję akwaforty
Konstantego Brandla „Kobieta i Pegoz“.

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ K. I. GAŁCZYŃSKI.

Redaktor: Jerzy Horzelski i Jan Jakób Feldman.

Wyd.: Za grupę poetycką „Kwadryga“ — Jerzy Horzelski.

Redakcja i Administracja — Chłodna 6 m. 6, tel. 286-69.

Konto P. K. O. Nr. 18180.

Redaktor przyjmuje w soboty w godz. 15 — 17.

Cena numeru 1 zł.— prenumerata kwartalnie 2.50.



103033

II 1929

Pędzą powietrzem rozjuszony chmury,
 niosące burzę i księżyc, Wicher stentorowy
 napelnia kłębami mgły cmentarne mury
 i w porfirową katedrę wypręża się mgła.
 Szumi rzeka,
 szumią latarnie,
 szumią drzewa nad grobami,
 szumią trawy pod stopami,
 szumią deszcze i gwiazdy płaczą na wysokości
 i włosami złotymi opadają łagodnie na serca nieme,
 niosące burzę i księżyc. Wicher stentorowy
 przelata szczytami katedry,
 płacząc,
 i na zwał darni, i na mgły zwałisko,
 sypie wał miesięcznego szkła.

Pochylcie głowy!

Przed wami na katafalku,
 w skłębionych światel rzece,
 leżą bezwładne i ciche,
 zwołki kobiece.

Blady stalaktyt lodu,
 ułamany lekko u sklepień.
 Kropla jeziornej wody,
 lśniąca na stepie dalekim.

Promień najbledszej gwiazdy,
 położony na palce, przegięty.
 Jej czoło to księżyc, kołem na poły
 rozcięty!
 Jej usta to luna, to lumen, to luna,
 to kolumna purpury, na warg dwoje złamana,

Biblioteka Jagiellońska



1002787322

ro dwa grona złożona, szalona piolunem,
czerwona całując, wyssana ustami.

To ust rozcalomanych ruczaj po czole się wijsze.
i gra, błękitniejsze, i usta zaleroa.

Oplata jej skroń, i powieki, i brwi jej,
i tętni, i rozbiera, i grzmi, i myleroa.

I błękit obłędny na krew się przemienia,
i kipi, i bulgoce, i rozjusza się, i rozwichrza.

Piersi dwie, jak dwie męki, i dwie radości, i dwa olsnienia,
dwie noce, i dwie moce, jedna prędsza, druga cichsza.

I rozkosz najstraszliwsza i podobna do huraganu,
do malstromu, do oceanu, rozbieganego pianą i paniką,
rozrywanego
grzmiącą organiką,
rytmiką, gamiką
rostrząsanego .

Chmur potęgi
tulów o tulów trą z tępym szelestem,
wydzierając piorun z pomiętych przepon,
i drzewo tulowoy,
rozwalone w konarów podniebne zasięgi,
wylatują z chmur, w bazaltowoy mur
krzepną,
i ramiona żalobne, ścięte do połowoy,
tragicznym gestem,
zawieszają nad tonią mgły.

Pochylcie głowy!

Pochylcie głowy!

Półmrok wygina się
w półkrag szeroki.
Przed wami na katafalku
kobiece złołki.

Blask je dokoła jak wyspę opłynął,
deszcz rozdzwania je muzyką kropel.
Nad wozgłowiem majaczy we mgle
kamienny profil.

Uwieńczone lopotem bander,
czoło o wiatr zastygły wspanla.
Owinięto ją w płaszcz, i w michurę, i w szkarłat,
w sztandar!

Bo w zamieci i w płaszczu, i w czerwieni, i w gniewie,
na barykady parla z karabinem w garścił
Za nią bruk nie tętnił, huragan nie wiał,
tylko ludzie szli od żelaza towardsi.

Armaty końmi ciągnięte ciężko,
najeżone śmiercią, w otchłannych płucach
przelewały krew, gdy jak Moru cielsko,
gnała w dymie, ulicą, we krwi — Rewolucja!

W ustach nieulekłych, twardych, groźnych
taka zaparła się walki żądza
wola, i sił taki zwał, taki rozmach,
taka zawziętość, i taka mądrość;

z oczu, co szły niby stal szeleszcząc,
taki głód zaskomyczał upiorem,
że glob się zatrząsł w podziemnych dreszczach,
i chrapnął grzmot, i wystrzelił piorun.

Jak niszcząc wali się roylew Ontarja
kolumną stali po niozach Ameryki,
zatapiając ład: tak szedł Proletariat.

O Piękna, i ty wolałaś w szereg iść,
i lecieć na bój, i przerodzić armji,
i hymny śpiewać, i krew całować,
i chorych karmić, i martwych chować,
i rany leczyć, i śmierci przeczyć,
i śmierć przynosić, i wieści nosić,
i bieć po trupach, i wiać po polach,
i w sidła wabić — i w kępie osin,
samotna, wroga spotkać i polec!

O, Piękna!

O Wielka!

O Niezmyciężona!

Ze czcią całujemy włos twój płowy.

Niech nad tym grobem nawet męskie oko
zaszkli się łza.

Bracia, pochylcie głowy,
podajcie dłonie!

W naszych sercach grzmi radość odległych zwycięstwo,
jej serce nie bije więcej.

My wiarę w ludzką moc oddamy chyba z życiem,
jej serce nie żyje więcej!

Ale z jej łona poczęty,
pod sercem noszony,
piersią wykarmiony
syn

z gwoździą

plomienną

na czole,

kiedy dorosnie,
bagnetem najeży karabin,
i będzie wołał polec,
śpiewając
 rewolucyjny
 hymn,

niż zdradzić!
Stanie w szeregu z nami,
zbrojny, do marszu gotowy,
pieśnią do walki poderwan,
i runiemy zwartemi kolumnami
na świat zawałony ścierrvem!

Podnieście głowy!

Jesteśmy lawina światła, której ogrom wulkany przepiętrza
i miłością słońce przemyższa.
Jesteśmy wolność,
i zwał, i szal, i szczęścia wystrzał!

Jesteśmy lawina światła, zaczażona w granatowych zakamarkach,
wisząca na krawędzi przepaści, której dno pieni srebrny wodospad.
Lawina czekająca na piorun, aby sfrunąć z wapiennych arkad,
przepaść gruzem zawałić po brzeg, wypchnąć zdroj i na świat
 mydostać.

Że kaskada człowieczej radości bucha z krwi rozszalałych kaskad,
że pożarem płoną włosy nasze, że bunt zęby nienawiścią wykręca.
temu myście winni, Demony, których brudne, złocone ręce
wysyłają po nasze głowy żołnierzy w mundurach i kaskach.

Szturmujcie w mur naszych serc taranami zawrotnych tortur
postokroć — i postokroć powleczenie na śmierć, i postokroć, i postokroć
 strąćcie w pustkę katakumb —
— podobne ptakom,
wylecą słupy jasności i rozepchną portal!

Najrozpaczliwszych katorg
konstruujcie żelazne kręgi, niech armaty odszczekają pogrom —
— wstaniemy!
Wstaniemy, jak ocean, jak olbrzym, jak ogrom,
i zwalimy w ruiny zator!

Zatluczemy kolbami bestję,
której kadłub czarny i zimny
drogę do szczęścia grodzi.

Moc truchleje, bo Miłość się rodzi:
bracia, do mnie! Na wieczny chrzest jej
śpiewajmy hymny.

WIOSNA.

To Ty rozpinasz między oknami kamienie
Pogodę brzęczącą jak z metalomej luski
I niebo pełne spienionej zieleni
Ku naszym zankniętym nachylasz ustom.
Z ziarn, z drzew wytłaczasz zieloność i wonność,
Plastry słońca wybierasz z niebieskiego ula
Szalona wiecznym musem sycenia, ogromna
Rozrasta się, w pokarmie śmierć dająca kula.
Rozrzedzą się owoce czczym i mdlawym sokiem,
Piach ziarnisty zostaje po rozgryzionych ziarnach,
Dnia wiosennego potok bieżący, głęboki
Tryska z źródła jasności, a głąb dnia jest czarna.
Spragnionych nie napoisz, głodnych nie nasycisz
Swem kłamstwem winnem, chlebnem, urodziwem, jasnem,
Ale tak nas poszukaj, jak szukasz mgławicy,
Kiedy chcesz ją oderwać i wyrzeźbić gwoździę.
O nie przychodź Wiosenny, ale przyjdź z oskardem
Jak z orężem — uderzyć w nieruchomych i niemych
I ciosem rozdzielić ust zaciętych twarde
Wargi, na których leży czerwony smak ziemi.

KUSZENIE.

*No idź. Otworzy się przed tobą rzeka.
Patrz. Niebo połyskiwo, jak atlas
a woda jeszcze cieplejsza w połysku.*

*Przecież zostałaś sama.
Przecież mystygły wargi Człowieka
i serce się zamarło, jak mosiężna brama.*

*No, widzisz. Jesień.
Niebo, jak sufit niski
a deszcz z dreronianym jękiem kapie i kapie na głowę.*

*Patrz. Tam jeden Samotny swe ciało
na latarni powiesił.
To ten mógłby tobie z pod powiek lzy cierpkie zcalować.*

*No, idź. No, przejdź się po kamiennym moście.
Ten, co ci tak serce rozłąką zakrwaawił,
rozlał po ziemi rzekę głęboką i mętą.
Idź. Ona cię zbawi.*

*Tak będzie lepiej i prościej.
Krótka przechadzka po kamiennym moście
I skok. I szum. I łopot sukni na wietrze.
I plusk. I nic. I kilka na wodzie kół.
I gęstą wilgocią nabrzmiące jesienne powietrze.
I groiazdy sine, mytarte
I rzeka ta sama: cicha i mętna i gładka, jak stół.*

REKORD.

*Jestem wieżą bez światła w nocy, na drewnianych idę kolumnach.
Granit szos i chodniki z betonu drżą od stąpnąć sztywnych i dumnych.*

*Każdy krok w moje biodro się wbija, jak pal tępy. O każdym wiem
kroku.*

Mierzę stukiem kul w twardą ziemię, niedojrzane dale naokół.

*Na kikutach nóg oberwanych, o zebranych od gapiów chlebie.
Idę w podróż wokoło świata. Szukam samego siebie.*

*Zgubiłem siebie daleko, na niezmierzonej flandryjskiej równinie,
W dolach mydartych piorunami, w huraganem mieszanej glinie.*

*W rozciapanem butami blocie, w czarnej ziemi, która się pali,
W szumie ptaków stalowych i huku druzgotanej perdytem stali.*

*W leniwych chmurach chloru i w powietrzu fosgenem zatrutem,
W długich nocach białych od rakiet, w smrodzie trupów zamisłych na
drutach.*

*Zaszytego w ziemię nie znajdują, poomacku padające pociski.
Samotnemu w strachu nie będzie głos kamrata jak brata głos bliski.*

Patrzcie! W oczach wypranych ze śmiechu, to nie ja, to nie strach,
nie groza!

To jest przepaść usłana gwiazdami, które w niej utonęły jak w morzu.

To jest przepaść, w którą zapadam z każdym stukiem kuli o szosę.
Na jej dnie chcę odnaleźć siebie, moje nogi zdrowe i bose.

Szukam siebie na prostych drogach, bitych szosach z miasta do miasta.
I flandryjska równina jak ziemia, cała ziemia z morzami urasta.

Przecinają me drogi rowy, które piasek i mokry wiatr grzebie.
Wszędzie pasy koleczastych drutów, wszędzie pola, gdzie zgubił siebie.

Gdybym miał moje zdrowe nogi, a na kościach mięśnie z rzemienia.
Uda twarde, jak pnie dębowe, kostki śmigłe jak u jelenia:

Nie nabijałbym się bez przerwy na drwa sztywne, nieczule drewna,
W brazylijskim tańczyłbym stepie, w suchej trawie pod słońcem
uleronem.

Jak koń darłbym ziemię piętami, ciosem nogi rozbijałbym głazy.
Do słońca mówiłbym nogami nierozumne, wesołe wyrazy.

Szukałbym w pracy i pocie, i w trawie tratowanej chrzęście.
Szukałbym siebie w bójkach na ciężkie kopnięcia i pięście.

Szukałbym w biegu, w oddechu chciwymi lapanym ustami,
We śnie skamieniałym zmęczeniem i w niebie zasianem gwiazdami.

Nie znalazłem siebie w Paryżu, ni w Berlinie, nad Wisłą, nad Dźwina;
Nie znalazłem w przebytych krajach i nie znajdę w tych, które miną.

Wszędzie lata są słońcem gorące, wszędzie zimy północą mrozą,
Wszędzie patrzą bezmyślnie ciekawi w moje oczy wymyślane zgrozą.

Teraz wiem, że droga przez światy — długa droga celu nie zbliża:
Wszędzie w rowach płaczą się druty, wszędzie niebo przegląda się
w krzyżach.

Bijcie prędzej drewniane nogi, bijcie głośniej w kamienny bruk!
Niech za krzyk i wołanie wystarczy wasz bezdźwięczny, trzeszczący
stuk!

Przemijajcie miasta i ludzie. Zapadajcie w śródpolną ciszę.
Może znajdzie siebie na stepie brazylijskim, z którego wyszedł.

ZOO.

POETA:

*Gwiazdy, się zapalajcie
Kwiaty, się rozmiyajcie —
Słowy witam cudnemi
Narodziny ziemi —
Jeśli łaska należy
Wierszom poklask oddajcie.*

ZIEMIA:

*Jestem, mówią, okrągła,
Okrągła i zielona
I Bóg ma usta słodkie,
Gdy mnie tuli do łona.
Jak fryga ręką dziecka
Puszczona latam pięknie.
W noc prawdziwą narodzin
Z ust bożych zieleni cieknie.*

POETA:

*Jesteś krągła zamało
I zielona zamało
Zieleni i krągłość zabiorę
by innym nie zostało.*

GWIAZDA:

*Panna w majtkach niebieskich,
natchnienie pensjonarek —
anioł mnie w noc nakręca —
chodzę — smutny zegarek.*

CZŁOWIEK:

*Siedzę ciągle pod stołem
pokurczony, malutki,
mam brodawkę na nosie
i smutki.*

POETA:

*Jako z pustego w próżne
świat się do wiersza przelewa,
jako własnego pępka
dotykam drzewa.*

LEWIATHAN:

*Monstrum obrzydłe i sprośne
tęsknię do wielkiej miłości,
katedra zapadła w otchłań
dyszę na głębokości.*

PIERSI KOCHANKI:

*Rozkosz łakomych poetów
nas nie opisać piórem,
jesteśmy dwie — jak dwie gwiazdy
pod suknią wschodzimy wieczorem.*

ZŁODZIEJ:

*Pomykam się pod bramami
prawie nieznaczny w tłumie,
kradnę różne towary,
bo wierszy pisać nie umiem.*

POEZJA:

*Jabłoń kwitnąca na szynach
pachnę w milczeniu —
cień odbity na ścianie —
głupie ptaki na cieniu.*

ZAGŁĘBIE DĄBROWSKIE.

*Ulice w gwarze wypadki łowią,
cisza nie przyjdzie razem z nocą.
W okna i bramy pięścią z ołowiu
dni mijające ciągle łomocą.
W troje poranki chore, zatrute
śmiało i gniewnie rzucam naboje.
Acetylenem zaplonie w hutach
wściekłość zdobyta rzezią i bojem.*

*Ziemia przeklęta! Wieczna zagłada!
nocą wyrosła wśród maszyn świsztu!
Gniew dynamitem węgla pokładom
karbid niech syczy w poranki mgliste.
Krew z nas toczona, po stylach łopat
spłynie, gorąca i ręce nam sparzy.
Kopalń prochoronie ogień już dopadł.
Śmierć skoczy w miasta prosto wam w twarze.*

Ściągną pożarła nam „Bankowa Huta”,
„Paryż“ nas zamknął w murów elipsie,
„Fitzner i Gamper“ każe w drutach
palce odciskać jak w miękkim gipsie.
Nocy Zagłębia zła i roychudła
kuśtykająca po ciemnych sieniach.
Fabryk kominy — czarne szczudła
rzuć w białe okna pałaców Schöna.

W wichrze i mroku oślepnie dozorca
rękę odnajdzie dłoń w bormaszynach.
Nabój już płonie! Na pustych tworcach
płomień zielony zaskacze po szynach.
Już nie wypadną czarne wagony
pod zadymione niebo i gwiazdy.
Pod rozmichrzonym nieboskłonem
zmlkną ostatnich pociągów odjazdy.

Krzyku ostatni Dąbrowy - Górniczej
raźnej, czerwonej, zmienionej do cna
Dni nadchodzących zwiastun krzyczą:
wieżo ciśnięć wspaniała i mocna!
Powstań gorąca, piękna, zuchwała
nurtem Przemszy dobij do Wisły.
Nasze w kotłowniach rozgrzane ciała
padną w Warszawę pożogi iskrą.

z estońskiego przełożył LUCJAN SZENWALD.

JA I AEROPLAN.

Lot jest na słońce.

*Troje nas: ja, moja myśl i samolot mój
w błękit nas niesie, wkręca się śmigło
fala powietrzną szumiące
i wyżej, choć wyżyn podniebnych dościgło
i ptaków polotom podobny jest polot mój.*

Lot jest na słońce.

*Kierunek T-C) — rżnie propeller naroylot
ogień przez ogon — błękitnych rzek wylem
przez mgły przechodzimy idące
w sześciennych miliardach eteru uwięzły
gnam. Szybkość 455 węzły.*

Lot jest na słońce.

*Nam słupy wiorstowe — obłoki lecące,
jak losie wygnane z niebiańskiej dąbroroy
pod nami nie ziemia, lecz mapa — tysiące
miast — archipelagi — i nędzne ostrowy.*

*

*

*

) (Terra-Coclum).

Będąc dziecięciem, słyszałem że het
anioły i ptaki z piórami się rodzą
i wzryż po obłokach, jak po schodach chodzą
i ronet mnie niepokój ogarnął i ronet:
Boże — czemuś skrzydlatym nie stworzył mnie,
lecz w piachu i w błocie i w ziemi położył mnie,
żem jest jak w grzędzie ryjący się kret.
I patrzę raz: młyn koło drogi coś klepie —
ot kima się miatrak w pól zagła na wietrze
i skrzypi, a w sercu, jak zgnile powietrze
tęsknota: ot żagiel drewniany rozszczępię
i skrzydła wyciosam i słońcem rozświecę
i w miejscu zakręcę się młynem — polecę.

*

*

*

Nie wszyscy stworzeni do rycia się w glinie,
ja płynę i płynę w podniebnej kabinie,
bo lot jest na słońce.
Człowiek — orzel
propeller jak serce do piersi włożył;
i niebo tnie jaśniejące
motor wiruje — to krew — to łomot krwi —
przez mlecznej drogi świetliste drzwi

LOT JEST NA SŁOŃCE.

Niniejszy wiersz jest utworem jednego z wybitniejszych przed-
stawicieli awangardy poetyckiej Estonji.

CZYHANIE NA BOGA.

Juljanowi Tuwimowi.

*To było — kiedy kamień kruszył ci się w rękę,
I gdy jak glina giał się pod palcami marmur
Czuleś dobrze — genialny — co to jest za męka
Trawiący w głębi ogień kształtami ogarnąć.*

*I gdy ponad wysilek wyrastają wizje
Z kimże to się pasujesz, z kimże to się zmagasz? —
Twój Jehowa — wiesz o tem — jest pragnień ojczyzną...
Cóż ręce ci opadły? — runęła odwaga?...*

*Buonarotti — śmiało! spręż krzepkie ramiona,
Uderz wichurą w serce trapiące widziadło.
Jakże to możesz patrzeć w dzieło nieskończone
I rozpacz cię nie chmyta palcami za gardło?*

*Czyżbyś uległ złamany, przygnieciony w walce
Przez ten ciężar ogromny, który dźwigasz w piersiach —
Przecież jeszcze jak iskry drżą ci w czułych palcach
Boskie melodje kształtów wyszarpane z serca.*

*Niech w białą bryłę dluto jak piorun uderza,
Niech z pod każdego ciosu wielkość się odsłoni:
Dwie burze rąk i tułów jak wyniosła wieża
I ramiona jak karki Apenin — pod dłonią!*

*Każde ścięgnę wyczumasz i mygladasz myślą,
Każdy ruch, wszystkie drgnienia wzrok twój ścisły pieszcza,
Tam, gdzie nie sięgną zmysły ręce lotne wysłesz —
Buonarotti — cóż to...!? czemu stoisz jeszcze!*

RACHUNEK.

*Jakże was zgasić śmiecie świerków
Kapiące żywicy przezroczystej łzami?!
O zanurzone w słońca parny kocioł
Kule kleiste jakby na igły kto was niza!!
Ponad kwadratorową łąką
Płynię mosiężny słoneczny dysk —
Wszystko na dzień i noc rozciął
I kładzie je naprzemian na pylne rżysko.
Parabolo słońca, tęczo
Przekreślona na nieba błękitnym liściu.
My obliczymy: —
Zerwiemy cyfry dojrzałe jak paki,
Co pękają i kwiatami jęczą
Z kwadratury koła
Drzema świadomości.*

WIERSZE JESIENNE.

*Piękna okrągła jesieni,
Żywisz mnie sobą do syta —
Dusza się jabłkiem rumieni,
Gdy lato kwiatem przekwita.*

*Zwiędłymi liśćmi wieńczona
Nadciąga muza jesienna,
Wesoła natchniona żona,
Zwierzęca i niecodzienna.*

*O, jak radośnie w ogrodzie
Śpiewać własnymi słowami,
Gdy ogród — jasny czarodziej
Szumi, szeleszcze gusłami.*

*Ach, wiele było, ach wiele,
Wiele dobrego i złego,
A dziś jesiennie wesele
Poety najsmutniejszego.*

*Pochyla mnie utrudzenie,
Zdarzeń i rzeczy zawrotność —
Jakież to szczęście cierpienie!
Jakież to szczęście samotność!*

SPIEW MRĄCEGO OSTU.

*Nad trawiastym brzegiem Huczwoy żył pewnego roku
 Mały, młody krzew ostowy urodzony w mroku —
 Z piersi ziemi ssał ciepły źródło mleka,
 Rósł, w zielone ciało się oblekał,
 Brał ustami liści — napój jasności z obłoków.
 Przypatrywał się w wieczory ciągłym fal pochodom,
 Przysłuchiwał się tym szumom, które z sobą wiodą.
 Czasem, bólem przejęty dalekim,
 Szeptał w smutku do sąsiadki - rzeki:
 „Nie miej, nie miej do mnie żalu, kiedy umrę młodo!”*

*I płynęła ciągle woda — i jak czas mijala.
 Przyszło lato, oset w słońcu kwiatami zapalał —
 Z dni wypijał zachodów pożary,
 Noce chłodem twarz mu machlowały...
 Oset smutny był, bo miłość, miłość go owiała!
 Naginał się, nachylał się ku rzeki spojrzeniom
 I czuł w sobie wszystkie blaski, które w niej się mienia,
 Chciał ją w nocie lipcowe bez słowa
 Czerwonemi kwiatami całować —
 Ach, ty mądra lśniąca woda w nieba przystrojeniu!*

Płynął, mijał strumień czasu, mijał, by nie wrócić,
By radować jedne życia — drugie życia smucić:
Chroile były to dłuższe, to krótsze,
Aż o jednym niezblaganem jutrze
Przyszła jesień, wczesna jesień, życie ostów skrócić.
Przyszła jesień — w smutnym oście, w zakochanym oście
Ostrzem zimna skaleczyła duszę z gwizdem złości.
I podcięła roślinne istnienie,
Uderzyła krzywdą, jak kamieniem,
Oset kwiety poczul w sobie śmierci, śmierci oścień!

Oset konał. Chwiał się w wiatru przeciągłych powiewach,
Czul, jak z lody obolałych życie się wylewa,
Chwytał oddech liśćmi omdlałemi,
Chwytał zapach przenajświętszej ziemi
I ostatnim słabym głosem wśród wiatru zaśpiewał:
„ Nie miej, nie miej do mnie żalu, ty huczwińska wodo,
Że w jesiennym głodnym chłodzie umieram tak młodo!
Nim poznałem słoneczną urodę,
Już wiedziałem, że muszę stąd odejść,
Tak jak wszystko odejść musi nieznaną drogą...

Szuniałaś mi, rzeko moja, rzeko miłowana,
O Bogu, pędzących gwiazdach, morzach, oceanach.
Upajałaś, kołysałaś, grałaś,
Byłaś pięknem roztopionem cała,
Gdy na słońca urodziny różowiałaś zrana.
I słuchałem wierzbrzybrzeźnych zmiennego szalestu,
I tęskniłem ku trójjemu wodnemu królestwu...
Zanurzony dołem w traw aksamit,
Krwawiłem się żywymi kwiatami,
Sną miłością, niby żarem, rozraniając przestroór...

Niebna noc błękitną trwarzą na pierś ci się kładła,
Napływały w głąb twą gwiazdy — a tys gwiazdy jadła.
Ach, meteor ognisty raz spadał
W twe objęcia — i skier, skier kaskada,
Zanim spadł, jak miecz boskości olśniła mię zagnała.
Zasyczałaś, podskoczyłaś, napuszona piana,
Opryskałaś księżycowi lysinę miedzianą —
I wróciłaś migotliwym deszczem,
I z rozkoszy drżałaś długo jeszcze —
Kilka słodkich kropli spadło ku mych kwiatów ranom...

Jeśli kiedyś znowu wrócić przyjdzie mi w te strony,
Niechaj w wodzie twej szumarem wzrosną rozmstężonym...
Radość może ku nowym nieść brzegom,
Ale smutek jest na dnie wszystkiego —
Ginę, ginę, raz ostatni w ciebie zapatrzony!
Zostanie lodyga ze mnie pozółkła i biedna,
Pył skruszonych moich liści rwący wichurą przegna —
Dni popłyną, jak słowa w piosence,
Ale mnie tu już nie będzie więcej,
Rzeko, rzeko moja... rzeko najśliczniejsza, żegnaj..."

Woda śliskie ręce w żalu zachwiała serdecznym,
Zapłakała płaczem cichym, smutnym pluskiem rzeczonym.
Dzień noc goni, fala goni falę,
Stamtąd bliżej — ale stąd wciąż dalej
Płyń, płyń, przemijając, strumień czasu wieczny.

LIST DO MATKI.

Dopiero dzisiaj przyjechałem, a już wszystko oddano mi w ręce. Całe popołudnie jechałem w pociągu, trząsałem się w samochodzie, a potem siedziałem nad biurkiem razem z inżynierem. Jest teraz ciemny wieczór. Siadam przy oknie. Liczby skaczą mi do oczu i wszystko jest strasznie niejasne. Nie wiem gdzie jestem; gdzie północ — gdzie południe? Świat się przekreślił i słońce cały dzień świeciło na północnej stronie nieba. Zwróciłem na to uwagę inżynierowi. Spojrzał i rzekł, iż się mylę: wszystko jest w porządku, — to znaczy, że północ jest pusta a południe nalane światłem słońca. Próbowałem oponować, ale się uśmiechnął i nie chciał nawet ze mną mówić. Dlatego z nim nie rozmawiam wcale, tylko tyle, co w sprawach urzędowych. Wszak słońce świeciło wyraźnie na północy. Gdyby było przeciwnie, miałbym je, jadąc, z prawego boku, a było z lewego, trochę w tył. Postanowiłem to zbadać. Muszę ustalić, jak to jest i wykazać inżynierowi, że się myli. Dlatego siedzę przy oknie i czekam na gwiazdy. Wyszukam wśród nich wielki wóz i gwiazdę polarną. One będą po tej samej stronie nieba, co dzisiaj słońce — jestem tego pewien, jaknajpewniejszy. Coś się musiało stać, tylko, że tego nikt nie zauważył, bo nikt na słońce nie zwraca uwagi — aby świeciło. Siedzę i czekam.

Narazie nic nie widać, jest pochmurno i gwiazdy nie świecą. Spać mi się nie chce, a łóżko ustawione w kącie kantorka jest niewygodne. Siedzę przy oknie i patrzę w las, a potem w niebo. Przez ścianę słyszę chrapanie inżyniera. To maści mi trochę spokój. Żeby nie słyszeć, cały skupiam się we wzroku. Patrzę w bór. Jest ciemny i wszędzie go pełno. Chwilami wydaje mi się, iż zbliża się ku mnie ze wszystkich stron i pochyla skoszlawiałe korony drzew. Pozostaje tylko okrągły otwór nieba — nademną. Podnoszę ku niemu wzrok — wciąż są welniste białe chmury. Kiedyż ukażą się gwiazdy? Dzisiaj ciemna noc i księżycą nie będzie — sprawdzałem w kalendarzu. Od czasu do czasu słysząc plusk. To ziarenka żwiru staczają się po po-

chyłości i wpadają w doły z wodą. Zresztą wszystko to głośzy inżynier, chrapiący coraz potężniej. Teraz słycać tylko jego. Chrapie serjami. Każda z nich zaczyna się cicho i równo. Tak przez krótki czas. Wzмага się. Ale w miarę tego powietrze idące z płuc i do wewnątrz natrafia na coraz patężniejszy opór błon w gardle i nosie. Oddech rozrywa zapory, zaraz natychmiast zwierające się coraz szczelniej, bardziej lepko, kleście. Pęd powietrza huczy, świszczy, rwie. Odgłos gra w krtani, płucach, nosie. Kiedy wciąga wewnątrz trwa to długo, bardzo długo. Zdaje się, że już nic nie zostało w komórce, gdzie leży uspiony.

Spoglądam na niebo, czy czasem niema gwiazd. Nic — tylko gęste obłoki kłębią się w przestworzu. Czuję powiew wiatru. A granie za ścianą trwa. Zdaje mi się, że powietrze przez szpary w deskach pędzi do wnętrza komórki, aby wypełnić próżnię, jaka powstała skutkiem wdechu. Nasłuchuje uważnie. Teraz następuje odpływ. Masa gazu ze świstem pędzi na zewnątrz, aż drewniane ściany huczą. Czuję ciepły powiew pomieszany z zapachem tytoniu, a może mnie się tylko zdaje.

Następne wdechy i wydechy są głośniejsze, coraz głośniejsze. Czekam z zaciekawieniem, co to będzie. Przychodzi mi na myśl, że może w nim coś pęknie i będzie katastrofa. Ale nic — chrapanie rośnie, aż dom się trzęsie. Dochodzi do napięcia, kiedy wydaje się mnie, że już jest niemożliwością wydać ze siebie więcej głosu, ale następne wdechy i wydechy obalają moje przypuszczenie. Czuję drganie ściany pod plecami. Nie patrzę już nawet na niebo. Jestem ciekawy, co będzie. Męczy mnie to i interesuje. Pewnie, że spać nie będę całą noc, a może i jutro. Zdaje mi się, że w borze echo odpowiada podobnym chrapaniem. Chyba mnie słuch nie myli. Tak — las chrapie też, tylko ja szukam i wyczekuje gwiazd. Nagle po jakimś piekielnym *fortissimo*, które wogóle wydaje się niemożliwością, przerywa się wszystko w otchłaniach płuc, rwie, drze i następuje głucha cisza. Przytykam ucho do ściany i nad słuchuję: nic. Powietrze jest spokojne — żadnego powiewu. Las milczy — bez echa. Trwa to jeszcze chwilę — jeszcze minutę. Uspokajam się zwolna i oglądam znowu niebo. Może doczekam się gwiazd i sprawdzę kto ma rację: ja czy on. Spać ani trochę. Siedzę i nic nie myślę.

Nagle pochwytyuję jakiś szmer, a po chwili znowu. Aha! to oddech spiącego równy i spokojny. Nagle zdaje mi się, że chmury jakby uniosły się w głąb nieba: nie wiszą tak nisko nad drzewami. Może się rozejdą. Otulam się w palto. Po jakimś czasie zwraca moją uwagę lekkie chrapanie za ścianą. Inżynier cicho rzezi. Nowa serja. Znowu jak za pierwszym razem świst i charkot rośnie, ogromnieje. Ale teraz nie zaciekawia mnie jego proces wzmagania się. Teraz zaczyna mnie to wszystko złościć. Kiedy powtarza się raz trzeci i czwarty myślę, czyby go nie obudzić. Ale nie, nie mam odwagi. Więc przesuвам się z krzesłem jak najdalej i patrzę w niebo. Niewiele to pomaga. Tak — chmury ustępują, są rzadkie i płynne, niema wełnistych białych skrzepów. Skupiam uwagę i patrzę w tę

stronę nieba, gdzie szło dzisiaj słońce, a szło ono po północnej stronie nieba napewno. Jestem tego jaknajpewniejszy. Przecież kiedy jechałem, miałem go z lewej strony, trochę w tył a powinno być z prawej, idąc od naszego domu w mieście. Przecież tor idzie równolegle do ogrodu. Tak zestawiłem wszystkie szczegóły i jestem pewien swego. Przypomniałem sobie jeszcze kąć, jaki robi pociąg, przejeżdżając przez piaski na setnej wiorście i to, że słońce świeciło nawprost pociągu, zanim nie skręcił w bok. Potem ułożyło się na butach podobnych, zaglądając przez okno, koło którego siedziały dwie baby z koszykami.

Rozmyślania przerwało mi znowu chrapanie. Przez jakiś czas nie zważałem na nie. Teraz zacząłem się złościć. Z nosa, gardła inżyniera wychodziły tłumy nieskoordynowanych niczem świstów, zgrzytów, pisków. Rosło to wszystko i ogromniało aż do potwornych rżężeń, załamywało się nagle i w uszach dzwoniła głucha cisza. Potym znowu i jeszcze. Słyszałem jak się przewracał ale to nic nie pomagało. Tylko łóżko połowe trzasło i znowu rozpoczęło się chrapanie. Byłem coraz bardziej podniecony. Chciałem go obudzić i nie miałem odwagi. Kiedy się tak wahałem — iść, czy nie iść — rzuciłem okiem na niebo. Chmury były jeszcze gdzieś tam, a między nimi świeciły gwiazdy. Przywarłem do okna i wpiłem się wzrokiem w ciemny przestwór. Na środku, w miejscu, gdzie spodziewałem się ujrzeć gwiazdę polarną i Wielki Wóz, tkwiła chmura. Długo nie ustępowała, chociaż pędziłem ją wzrokiem precz. Nawet nie zważałem na chrapanie, które nie ustawało ani na chwilę. Gniew i niepokój gdzieś w głębi przyczajone. Nareszcie. Chmura zaczęła powoli schodzić i ukazały się upragnione konstelacje. Miałem słusność: wielka niedźwiedzica i gwiazda polarna były na tej stronie nieba, ponad czarnym borem. Oczekiwanie minęło — była pewność. A za ścianą rosło chrapanie — coraz potworniejsze. Teraz byłem wściekły. Muszę go przekonać. Wykażę mu prawdę. Nie zważałem na nic. Będzie za chwilę taka cisza, jak tam — między gwiazdami. Bez odrobiny nieśmiałości uchyliłem drzwi do komórki i wszedłem. Nie namyślając się ściągnąłem ze śpiącego koc i potrzasnąłem za ramię. Był właśnie w momencie wydawania ze siebie łoskotu i świstu podobnych do tych z parowozu. Z dziką pasją trzęsłem nim całym jak wiechciem.

— Panie inżynierze, panie inżynierze — wołałem — wielki wóz i gwiazda polarna są tam, gdzie dziś było słońce.

Podniósł się.

— Słyszysz pan, ja mam rację — krzyczałem mu w ucho.

— Co — pytał — co się stało?

Powtórzyłem:

— Gwiazda polarna gdzie słońce.

— Gdzie słońce — kiwnął głową.

Niech pan zobaczy, niech pan sprawdzi, że mam rację.

Pociągnąłem go za ramię i do okna. Pokazywałem gwiazdy i tłumaczyłem.

Po jakiejś długiej chwili milczenia spojrział na mnie bystro i rzekł:

— Pan zwarzował ?

Cofnąłem się:

— Jakto ?

— Tu jest północ, a tu południe — i dwoma machnięciami ręki, nie patrząc na niebo, przeciął powietrze. — Ale właściwie dlaczego pan mnie budził ?

— Bo—zaczęłem—gdzie świeciło słońce, tam teraz jest gwiazda polarna i Wielki Wóz.

Przerwał ruchem ręki i zajrzał mi znów w oczy głęboko, długo. I ja patrzyłem w niego szeroko rozwartymi źrenicami. Wreszcie:

— Niech pan idzie spać — i popchnął mnie w stronę tapczana. Jeszcze raz rzucił od drzwi:

— Jutro porozmawiamy.

I słyszałem jak trzasło łóżko, a wkrótce zaczęło się chrapanie, ale byłem już wtedy bez sił i popadłem w dziwne odrętwienie. Może spałem.

Rano, kiedy inżynier wszedł do kantorku, czułem jak obrzucił mnie wzrokiem nieufnie, badawczo. Siadł przy stole i wyjął papiery. Długo niemi szeleścił.

— Chcę z panem rozmówić się — rzekł. Siedziałem, czekając na jego słowa. Wreszcie:

Czy pan dalej utrzymuje, że słońce chodzi od wczoraj po północnej stronie nieba ?

— Tak mi się zdaje — powiedziałem wątpiąco, niewiedomo dlaczego, przecież byłem tego pewny.

— Jest pan tego jaknajpewniejszy ? — pytał.

— Tak — i chciałem wyjaśnić moją rację, ale mi przerwał:

— Czy pan nie uważa za pewnik, jeśli przynajmniej nie za prawdopodobne, że słońce, zmieniając swoje położenie zmieniłoby także stanowisko innych ciał niebieskich. Albo, jeśli weźmiemy inną możliwość, że... Ale dość o tem. Może się pan uważać więc za zwolnionego z posady. Zaraz wypłacę panu za dwa tygodnie — i pochylił się nad szufladą — chyba — po chwili — że pan zrezygnuje z tego słońca. Dostrzegłem na jego twarzy jakby uśmiech i politowanie. Chciałem dowodzić, że mam rację, ale nagle przypomniałem sobie, że zostawiłem ciebie i że obiecałem Ci, mamu, na pierwszego przysłać pieniądze. Czułem na jednym policzku chłód, mróz—drugi piekł mnie żarem. Spojrzałem przez okno: było pochmurno i smutno. Nie świeciło słońce.

— Pan inżynier ma rację — rzekłem, krztusząc się — i... i... bardzo przepraszam.

— No, no — uśmiechnął się szyderczo.

ZDARZENIE W OSTATNIEJ ÓSEMCE.

Błoto kłaskało mocno, soczyście. Nogi w szerokich pudłach pantofli wlokły się za ciałem. Chodziliśmy — wielkie, ociężałe ptaki, ciągnąc za sobą brezentowe skrzydła. Inni człapali stronami — w bok od głównej linii — ci nastawiali brezent najszerszej — dla bezpieczeństwa. Słońce uczepiło się szafirowej równi, a ważki czubków tataraku. Od błota pęzło ślepe milczenie, upał i zapach wodorostów. Moja właśnie była kolej ciągnąć belkę. Zdjąłem drewniane obuwie. Szarpnąłem — idzie. Złapałem rytm raz - dwa, raz - dwa, z lewej nogi mocniej. Bagno syczy, jakieś jaszczury rankiem w niem ocykały się i broniły nam codziennej pracy. Szedłem tam, gdzie się kończyła rana rozkopów na zielonem cielsku błota. Chór głosów coraz wyraźniej wołał z oddali: Hoa - hu! Hoa - hu! Hoa - hu! Mierzyłem kroki — raz - dwa, raz - dwa. Czas ciągnie się jak klej. Tylko nie myśleć, że ciężkie, bo zaraz zmęczenie przyjdzie... Gnieść zacznie ramiona i plecy ku ziemi. Pracować mimo zmęczenia — to znosić głuchy ból — wiedziałem co robić — przytępić świadomość bólu. A on w skroniach kołatał, w gardle palił, żebra ścisnął, prawa dla swego istnienia domagał się. Ciągnąłem. Sznur tarł odparzone ramię. Berwiono, nadlatując, pchało ku ziemi. Gdy już zdawało się, że mi nie starczy sił — kołysałem głową w takt marszu — wewnątrz czaszki, roztopiony ołów biegł w kółko — w uszach szumiało. Było mi wtedy obojętne kiedy się praca skończy, kiedy nadejdzie nieruchoma godzina wieczoru. Zamarłe ciało wykonywało rytm, mało czując. Ale gdy rozpaczliwe zmęczenie zaczynało łązić po plecach, łaskocząc plugawie — chciałem rzucać belkę, krzyczeć i uciekać. Poddałem się terrorystycznemu tętnu. Hierarchja zorganizowanej ciężkiej pracy fizycznej uciskała jak marmurowa płyta — równomiernie we wszystkich punktach. Planowy ucisk wyklucza bunt. Teraz belka szła dość gładko. Pot słonym strumykiem zbiegał na usta. Kiedy mi serce miotać się poczęło, jak oszalałe — byłem bliski celu — wciągałem belkę na mostek. Na pierwszych deskach rusztowania zdjąłem skrzydła i rozluźniłem pętlę, w której tkwił bal. — Przyjmuj! — Jeest! Poszła. Wracam boczną ścieżką, bo po trawie lżej iść. Na prawo jarzy się ciemną, gębiną wodą „oko“. Błotna ziemica patrzy uparcie, hypnotyzuje. Tu niedobre miejsce — za kłótliwym szczękiem trzciny szkli się poświata drugiej wodnej śmierci. Ta kępa z wetkniętym w nią patykiem pewna... Zresztą. gdybym się nawet zapadł — skrzydła utrzymają — ludzie

blisko. Od błota bije ciepło życia, gorąco wielkiego mięczaka. Czarna krew pulsuje... Zdaleka płyną czyjeś zielone ramiona. Jonek! — wołam. Jonek! — Ja. — Którą ciągniesz? — Ostatnią. Jonek staje obok mnie, uciera nos dwoma palcami i mówi stłumionym głosem: — Ja teraz zdejmę uprząż. Ja tak nie mogę dłużej. Cała ta hołota drwi ze mnie. Dozorca wyśmiewa — mówi, że powinienem dzieci rodziców, a nie ciężary nadawać. — Ani mi się waży, nie umiesz jeszcze. Zlecisz z mostu. — Zdejmę. — Nie pleć głupstw, niezdaro. Już miesiąc jesteśmy z Jonkiem na robotach przy osuszaniu błot. Razem jak zwykle. Od niedawna nasze inteligenckie ręce obrosły sękami. Od niedawna praca fizyczna bije na nas codzienny stempel potu. Z początku wszystko dusiło i gniło, teraz lepiej. Tylko błocisko zabiera siły, no i Jonek. Jonka zawsze muszę wlec za sobą jak mały, źle spakowany tłumok, co to go i w prawej i w lewej ręce niewygodnie nosić. Jest miękki i niezdecydowany, sugestywny i płaczkliwy. Psychicznie jest ciężarną kobietą. Wodzi naokół zielonemi oczami i narzeka. Rozczarowanie do rzeczy niespełnionych owija go, dusi. Zacina dziedzinne, pulchne usta, krzywi drobne, dziewczęce rysy, kuli małą, chudą postać i... boi się. Jonek — człowiek mocny i twardy nie byłby moim przyjacielem. Nie drżałbym o niego, nie myślałbym o nim w każdej chwili naszego wspólnego życia. Miłość i przyjaźń żyje długo, gdy litość chodzi za nimi jak cień. Zrastają się serca tych, co mają nierówną siłę. Jonek jest moim przyjacielem. Jonek jest najniebezpieczniejszą odmianą przyjaciela — kulą u nogi. Słońce zachodzi

Teraz najgorsze godziny. Mrok i zmęczenie chodzą między nami. Teraz najłatwiej o wypadek. Na moście, idą belki w błoto, nie widać gdzie i jak stąpnąć. Z ciężarem idzie się szybko. W ostatniej chwili trzeba wypuścić go z pętli. Niewprawni zdejmują uprząż na kilka kroków przed brzegiem mostu. Dalej pchają rękami. Następni wrzeszczą i grożą, powstrzymując rozpędzony ciężar. Praca, jaką tu mamy, wiąże wszystkich, luluje — każde opóźnienie następni odcierpieć muszą. Po dniu roboczym nowicjusze płaczą pod kocami noclegowego domu. Jonek dotychczas nie umie puszczać belki, zawsze dopycha rękami. Raz-dwa. Idziemy. Ostatnia ósemka. Pierwszy Jonek, drugi ja i następni. Jonek idzie śmiało, równo, wybijając marsz. W połowie mostu parę razy zatacza się i podbiega drobnym, śmiesznym kroczkiem nowicjusza. Nerwowo chwytając uprząż na sobie, utrzymując równy, szybki bieg. Jonek pędzi. Belka gna. Nad brzegiem mostu. Jonek zrywa uprząż przez głowę. Śpieszy i drży, zawadza o fałdy drelichowej kurty, ciągnie wreszcie pętlę ku stopom — sznur zaciska mu nogi. Berwiono opiera się o boczny, drewniany hamulec, zatrzymuje rozmach i — zlekka kołysze się. Do-

zorca gwizdże — wypadek. Aby tylko utrzymać takt. Utrzymać za wszelką cenę. Wszyscy pędzimy na miejscu, hamując ładunek — raz — dwa, raz - dwa, raz - dwa. Ręce ósemki latają jak skrzydła wiatraków — zachować równowagę — krzyczą. Wierzgamy pociesznie na miejscu, wysoko podnosząc kolana, jak rozbrykani chłopcy. Jeden z wypadków. Kierownik robót odesła raport. Ani on, ani my nie myślimy o bólu i straszliwości tych zdarzeń, tak jak nie myślimy o cierpieniach rodzących matek. Tańczymy taniec śmierci, która weszła na pomost. Widzę śmiertelnie bladą twarz Jonka i zaraz gubię takt. Raz-dwa, dwa, raz-dwa dwa! Co to? Jezu! Coto? Wypadek. Wypadek. Dozorca słyszy zrywany takt — zaczyna liczyć przepitym głosem. Utrzymać! ... syn! Utrzymać! Raz-dwa, raz-dwa. Ratuje. Ciężki oddech ósemki przechodzi w świst i jęk. Zmęczenie wali w łeb, w kark, żre w plecy. Szósty charczy jakby się dusił. Przegniła odzież przylega do piersi. Bose nogi dudnią o deski. Bieg śmierzdzących rycerzy pracy. Raz-dwa, raz-dwa. Berwiono kołysze się. Zaraz się zerwie, wbijając głęboko w mięśnię ciała mojego Jonka. Raz-dwa, raz-dwa. Zaraz ktoś straci siły i puści ładunek. Wszyscy poprzedzający pójdą do błota. Co robić? Tylko ja mogę ratować — ja mam następny ładunek, drugi w ósemce. Muszę się zbliżyć. Bez dojścia bezpośrednio niema ratunku. Boję się. Boję się. Idę. W oczach Jonek i białość. Idę jak lunatyk (głupcy mówili potem o mojej odwadze). Nie idę. Jadę. Zdjąłem z siebie uprząż. Jadę, siedząc okrakiem na belce. Jonek, trzymaj za hak — wołam. Trzymaj, ścierwo — trzymaj. Jonek chwytą obydwoma rękami za hak przy rusztowaniu. Moje berwiono opiera się o ładunek Jonka i na chwilę obydwaj zachowują równowagę. Zdejmuję z nóg Jonka sznury pasa uprzążowego. — Przyjmuj — rzezi trzeci zgoła niepotrzebnie, bo odbieracze już dawno ukryli się za schrony. Ładunki poszły w bagno. Trzymając za hak, leżymy na samym brzegu mostu. Obok sześć razy — sześć tysięcy razy — słyhać: Przyjmij — jest. Bale przechodzą tuż obok. Każdy może zmieść do błota. Jakies bydlę woła we mnie — chcę jeszcze żyć — chcę żyć, choćby w tej katordze — na bagnach — chcę żyć. Poszedł szósty. Wyłazimy obydwaj powoli, na czworakach, po spadzistych deskach. No!.. Przyciskam do piersi Jonka i beczę. Jonkowi oczy się robią duże i przezrocyste. Pociąga nosem i milczy niby nieposłuszne dziecko. Reszta ósemki stoi obok. Wyciera pot i dyszy ciężko. Wszystko cuchnie trzęsawiskiem i potem. Wszyscy milczą. — Dranie, dranie. Mordy niedołężne wasza mać — ryczy ochryple dozorca. Poszli won z pomostu niedołęgi — wyje rudy. Ostatnia ósemka schodzi z pomostu. Słońce zatacza się na horyzoncie i mocno krwawi. Pachnie olszyną i wieczorem.

WIKTA.

Władek Piórek ujawszy się pod boki, stał we drzwiach hardo ciskał na całą izbę złowrogie spojrzenia z pod jasnych krzaczastych brwi.

— Dota mi ją czy nie dota?! —

— Pirwy mie w grobie oboczysz — odrzekł spokojnie stary Lisek.

— No to obaczym!... Jeszcek mnie bandzieta prosić!

Władek wykręcił się na obcasie i trzasnął za sobą drzwiami, aż zatrzęsły się ściany i wśród łyżek w serwantce jęk przeszedł. Przesunęła się jeszcze jego barczysta postać w szczytowem oknie, przy którym Wikta głośno szlochała. Poprzez pola, okrążywszy stawy podążył do swej chałupy, gdzie u ojców po przyjeściu z wojska pędził żywot w lenistwie.

Ojciec Wikty, stary Lisek, pokiwał jeno głową na owe zuchwałstwo Władka i zaklął siarczyście na swoje uczciwe życie i na spokój w grobie, że Wikty takiemu to, pańskiemu dziadowi nie da z domu. Zawziętość go sperła okrutna aże co chwilę spluwał pod komin i podkręcał waś, to znnowu po kolanach uderzał się całą siłą. A kiedy się już trochę wyburzył, mimowoli spojrzął w okno: Władek rozciąpał się już wdali, wreszcie znikł w opłotkach zabudowań ojcowskich, widnych z chaty Lisków. Tedy zwrócił się z przemową wprost do Wikty:

— Wejż ją! Jak to bandzie szlochała, kiejby ze skóry kto derł. Jo ci pedom, co cie za tego wycirucha, za tego parobasa nie dom! Nie dom!! Jakem Lisek.

Głośniejszym szlochom Wikta przerwała wątek ojcowskiej przemowy.

— Cheba... Nie dom i tela! — rozpoczął nanowo. — Juże tero nijakiego szaconku, uważania nimo. Dej mu ino ziamie, a wnet ci nos, matka, z torbami puściłby jucha. A ino...

Lisek poprawił się na siedzeniu i zerknął w stronę matki, poprawiającej ogień pod blachą.

— Toć ta — odezwała się Liskowa — parobek to i parobek, jeno coby robotny chłop beł, toby i nie żol takiemu ziami dać...

— A ino, robotny! Toć bezmała rok, kiej z wojska przyszedł, a co? Stary Piórek worki na spichrz nosi, kiej nosił łoni, — a synalek juści, — chory. Na matkę ciągiem jeno cholery sadzi, kiej na gorzole nie chcem dać.

— Toć prouda. Samom słyszała, kiej po kościele szliśma do

dom, przysed do matki i chciol piejondzów. Chocia sie sumitowała Piórkowo, że przy sobie nimo, zaklon i pedziol: Poczekaj, ty staro świnio.

Wikta odwróciła się od okna i spojrzała zapłakanemi oczyma na matkę.

— Wiedzom somsiedzi, wiedzom — jak kto siedzi. — Ciągnął Lisek, patrząc przed siebie. — A co ón zrobił z Maryną Wenglanko. Dzieucha beła kiej skra, a tero?... Rzucił dzieuche, bo patrzeć ino, jak dziecioka bandzie miała.

Nieprouda!! — poderwała się Wikta od okna. — Nieprouda! że to Władek! Kto tam wi! Mogła za Władkim, kiej suka nie ciekać. Kto wi czyje...

— Wiedzom, wiedzom. Dzieucha sama wykrzykuje. Ludzie widzieli...

— Tylo wiedzom, co i ociec — przerwała Wikta. — Samom widziela, jak kiele stawów nie jedyn wieczór, przyczajona czekała na Władka. Abo na wzgórk, jeno go ujrzała, śpiwała co ón jest dla ni jedyny.

— Wyśpiwała sobie siubra.

— Ma to coć chciała. Som gadoł mi, co za nim lotała, kiej suka.

— A ón za tobo to nie loto?

— Bo mie szczyrze miłuje i zaro bandzie ślub, co ino waszy zgody chce.

— To ji nie bandzie miol! Pedziołem co tymu parobasowi ziami nie dom i już!!

— A ociec to czym beł? — zapytała Wikta — He!... Czym to ojciec beł, kiej jeszce ty gospodarki nimiol?

Na starego Liska wystąpiły nagle gorącości i krople potu.

— Jak to beło? — wybełkotał Lisek i zerwał się nagle z ławy.

— Jak to beło?! — schwycił Wikte za włosy, cisnął pode drzwi, aże jęknęło i bicyskiem jął prać, gdzie popadło.

— O Jezu! Zabijesz przeciek! Ołaboga! — broniła matka.

Wikta ani łzy nie uroniła, taka twarda, ani się poruszyła, aż ojciec zasapał się mocno, bo duszność dokuczna była i przysiadł ciężko na ławie; wysunął na izbę nogi, usta szeroko otworzył i oddychał szybko, a kaszel duszący wydobywał na wierzch oczy.

Duszno mu było w izbie, duszno — a na dworze od ziemi wilgocią szło, choćby i przed chatą na chwilę przysiąść.

Ręce mu drżały i serce biło głośno. Raz po raz ukradkiem spojrzał na Wikte leżącą bez ruchu na podłodze.

Żalność go ogarnęła boć to pirwszy raz tak Wikte złoil. Podniósł na nią ranke, bo dotknena najczulszy struny ojcowego zywota. Czasów, kiedy parobkiem beł, kiedy wysługiwał za życie no i kiedy skóra na jego rancach penkała i krwawiła od ciężkiej pracy.

Ale to beło łoni. Wziol sie za bary z ciężkością. Wzieni we dwoje dwanaście morgów na słaty — mieli ino razem dwajścia paliców do roboty i wydzwignoli się — so tero gospodarzami dobry pszanny ziami. Ucałowali te ziamie swoją uroczyście i charo-

wali od świtu do nocy, choć jeszczek bardzi popenkała skóra na rancach.

Żalność go ogarowała, że jego córka, jedyne dziecko rzuca mu tę we twarz i naigrawa się.

Beł parobkiem, prouda. Ale leniem nie beł. Nie ma na somnie- niu ani jedny dzieuchy, ani jedny krzywdy się nie dopuścił. Uczci- wie ziamię spłacał. — Sprawiedliwie dla Wikty beła.

Spojrzał na nią jak jeszczek leżała. Poruszył się niecierpliwie i głośniej i dłużej zakaszał.

— Pódzi — wykrztusił — Pódzi. Bez obraży Boski, wytłuma- cze, coć to ślubowanie Władkowi ino krzywdo dla cie bandzie.

Wikta wstała. Nałożyła na siebie chustę i wychodząc ode drzwi, drwiące cisnęła na ojca spojrzenie, a za progiem:

— Juści! Bandzieta się litować i bandzieta mnie katować! Mnie waszy litości nie trza!

Na dworze już mrok gęsty pokrył pola i księżyc zza wysokich topoli przeglądał się w stawach, jak Wikta biegła do Władkowych ojców chałupy.

Wpadła do izby zziajana z oczami splakanemi przez drogę.

Władek łyżkę od gęby odjął z zadziwienia.

— Co to?

— A no nic. Naidz se, to ci późni opowim.

Przywitała się i przy matce siadła na okrągłym pniaku, a Wła- dek niecierpliwie ruszał wąsami i łowił kartofle w dużej misie.

— Późni zjim — wstał — chodzi, odprowadze cie do dom.

Na połu Wikta się rozplakała i przez łzy żaliła.

— Ojciec wysmigoł mie bicyskiem aże furkotało.

Władek zacisnął pięści.

— Oj, dołbym tymu skuyrze, powstań-padnij, ażeby mu łeb spuchł... Cichoj nie płacz! Jak ostaniesz mojo, to na cie spojrzeć nie dom!

Uchwycił Wikteę w pól i do swoich szerokich piersi przycisnął, aże jej dech zaparło i od gorącości w głowie zachmurzało.

— Ojciec pedzioł, co mie tobie nie do i tela. Póki żyje, póki mo troche dechu, nie do.

— Oboczmy. Jak przyndzie czas, to i rada sie znandzie. — Po- trząsał głową, aż mu pęki włosów z pod czapy zakryły oczy. — Abyś tylko ty Wikcia mie chciała, reszta to furda...

Podgarnął włosy i uśmiechnął się do niej, ukazując dwa sznu- ry białych, równych i zdrowych zębów.

Wikta miłośnie sparła się na Władku i tak szli, rozpowiadając sobie co bańdzie późni, jak ona jego kobitom ostanie, a on jej chło- pem.

Dochodzili stawów. Wikta ociągała się aby przedłużyć te chwi- le. Patrzyła obojętnie na widne jeszcze okno chaty rodziców, które małem mrugliwym światelkiem dawało znać, że tam jeszcze życie się krzata.

Odwróciła głowę, skierowała swoje kroki na szeroką groble, zarosłą wikliną, pociągając za sobą Władka.

— Posiedzimy se trochę — zaproponowała — Nie spieszo mi do chałupy, gdzie tak krzywo na mnie patrz, za to com ciebie umiłowała.

— Wikcia!! — zawołał serdecznie — A ino! Posiedzim se! Tylko wejdźma na ten wzgórek, bo ode stawów mokrącią idzie.

— Podłóże chuste — wyszeptła.

— Bandzie ci zimno.

— Przy tobie? He... Nie! wyszczerzyła do niego zęby, śmiejąc się głośno.

Usiedli. Rozповідаł jej, jak to beło we wojsku, w owem Toroniu. Jak sakramenckie łoferny przed nim w dach biły, jak się go same łoficery bojały. Rozповідаł ło wielgachy rzyce, ło wielgachnych kościołach i ło tych trambajach przez kóni, co ino dyszel u góry lata.

Rozgawędzili się w noc schodzącego lata, w poszmerze serc własnych.

Ślubował jej nad stawami i całował. Ślubowała mu i obsypywała gorącemi pocałunkami.

Światło z okna jej rodziców dawno już zagasło, kiedy Wikta szła do domu, ino księżyc ośyiecał jej drogę.

Zmiany zaszła we Wikcie od pamiętnego wieczoru, rzucały się wszystkim w oczy: żywa, wesoła, rozśpiewana, darzyła wszystkich dobrocią, jeno ojcu zapomnieć nie mogła bicyska.

Codzień biegała nad stawy, do Władka. Zasztywali się razem w gięstwinię krzaków na grobli i co dnia stała grubą chustę na ziemi. Tak spędzali na miłowaniu długie wieczory — nawet niebo nie zapowiadała zmian, nie groziło ciężkimi chmurami. Aż gruchnęła po wsi wieść: Maryna Wengłanka ródzi!

Władek spotkał się z Wiktą tegoż dnia osowiały. Już nie taki gorący; nie całował, nie ściszał.

— Wikta — przemówił ponuro — ucieknem.

— Jakto? A niby gdzie pójdziema?

— We świat. Do Toronia.

— A toć poco?

— Słyszałaś już pewnikiem, co Maryna wygaduje. — Mówi po cały wsi, co to moje.

— Ale jo w to nie wierze. A ty? — pytała, patrząc w jego oczy.

— A czy jo wim? Nie wim. Dość, że jutro skoro świt, ucieknem.

— Bez niczegoj?

— A coć potrza?

— Daleko do onygo Toronia?

— Bandzie z dziesięć milów.

— Rety! A pieniondze mosz?

— Ba... Stary mi nie do, ale ty wiesz, gdzie ociec twój chowają papirki.

— Jakto?

Ano weźmiesz.

— Jakto? — pytała nie rozumiejąc dobrze o co chodzi.

— Pożyczysz... Jak się dorobimy z procentem oddam. Przecież to i tak twoje. Jutro skoro świt bandziesz czekała na mnie wiele figury na Bilską drogę.

Uściskał ją na pożegnanie i puścił się pędem ku swojej chałupie, a ona stała oszołomiona. Po głowie jej huczało: skorno świt... Skorn świt...

— Jezu! Pożyczyć ma piejondzów sama. Ojcowych piejondzów!... — jęknęła i poszła zwolna do domu.

Światelko z okna szczytowego, mrugało na nią, stawało się bliższe, większe, jaśniejsze.

W izbie matka odmawiała jeszcze wieczorne pacierze, a ojciec dobrze już chrapał, wyciągnawszy na izbę suche nogi z pod pierzyny.

Wikta wiedziała dobrze, gdzie są piejondze ojcowe, przeliczała je nieraz sama, prostowała sztywne papirki, owinięte w szmatę i ukryte w szafie nad samymi drzwiami, za deszczułką przybitą.

Wahała się, podchodziła kilka razy do drzwi szafy, kiedy i matka zasnęła na dobre, dając znak Wikcie swoim puchaniem dechu.

Zastrachana otworzyła powoli szafę, a kiedy drzwi skrzypnęły głośno, wskoczyła z powrotem na łóżko, przyciskając głowę do poduszki.

Po długiej chwili uniosła głowę — i nasłuchiwała. Stary zegar uderzał głośniejsz, niż za dnia swoje tik-tak. Chrapanie ojca przerywało ciszę od czasu do czasu. Ześlizgnęła się cicho, podpełzła do szafy i, schwyciwszy zwitek papierków, podniosła go z sobą do łóżka.

Nie zmrużyła już oka. Tak jej się długachną wydawała nocka wrześnieowa, że nie mogła doczekać świtania.

Nim brzask idący rozrzedził zlekka ciemności, poszła z tobołkiem na umówione miejsce, ściskając w garści skarb najdroższy.

Władka jeszcze nie było. Odetchnęła głęboko, bo obawiała się, że może być na nią zagniewany za spóźnienie.

Przysiadła tuż przy drodze na kamieniu. Z przydrożnego krzyża drewniany Chrystus patrzył na nią swojemi głębokimi oczyma, wymytemi od deszczów. Nici pajęczce, omotane do krzyża i ramion Chrystusowych, srebrzyły się w rannej zorzy i drgały jeszcze chłodem nocy. Mgła z nad pół rozptywała się w powietrzu, nikła, a na niebo wchodziła ogromna błyszcząca kula.

Wikta czekała, drżąc z niecierpliwości — nie przychodził.

Na polach wrzało już życie: nawoływanie oraczy rozlegało się zewsząd, zbliżka dochodził furgot skrzydeł przepiórczych, które stadami zrywały się z pola.

Po głowie Wikty snuły się różne myśli. Wstyd było wracać, bo napewno już wieś cała rozgadana o jej ucieczce.

Wróciła.

Prostu powi prawdę, że chciała uciec, ale jo ten Krystus na drodze Bilskiej zawrócił.

Tak powi.

Gdy weszła do izby pełna niepokoju, ojciec siedzący przy śniadaniu roześmiał się głośno.

— Ano powróciłaś?

Zdziwiło mocno Wiktę owe śmianie. — Czyby nie wiedział jeszczek o tym, że ukradła piejondze? — pomyślała.

Matka tylko ucieszyła się: płakała i fukała na ojca, że to nawet serca nijakiego nima dla rodzony córki, taki nieużyty.

— Poczekaj—zwrócił się do Wikty ojciec—poczekaj, a wnetki dowiesz się nowin. Władek uciek ale som. Do starych Piórków, Wenglanka przyniosła chłopoka zdrowygo i tam ostawiła. Słyszysz. Pedziała, co to jego.

Dla Wikty każde słowo ojca, było sroższym ciągiem od owych batożeń bicyskiem. Coraz pomniejszała się, ale o Władku źle nie myślała, jeno sama pod ziamie skryćby się rada.

— A ty wiesz przeciek, co ón cie do podłego namawioł.

Wikta podniosła oczy na ojca i silnie ścisnęła zawiniątko w ręku.

— Wejź. Prawił ci pewnikiem o miłowaniu, a we sklepie przy kieliszku wygadoł, co twojema renkama podbierze wszyckie piejondze staremu kutwie — to niby mnie.

— O Jezu! — jęknęła Wikta do reszty przybita.

— Wejź... Cie... śprytniejszym od twoigo Władka, chociem we wojsku nie beł. Dobre ludzie donieśli, a rodzona chciała okraść... Ludzie pedzieli Władkowi wczora po twoim widzeniu, co jo wszyckó wim. Nie przyszed, boś piejondzów nie miała...

— O Jezu!! — ryknęła nieludzkim głosem Wikta i padła do nóg ojcowych.

— Czy ty wiesz, co trzymosz w ranku jeno papiór...

Głos Liskowi uwiążł w gardle i łzy spłynęły po zoranych policzkach.

— Adyc przestań — wtrąciła matka — bo mi się dzieucha jeszczek ozchoruje.

Wikta nie mogła pojąć wszystkiego. Niedawno ślubował jej uroczyście, mówił, co jeno Pan Bóg sam patrzył na ich ślubowanie, A tu ucik.

— Ucik!!

Nie przeklinała, jak Wenglanka, nie groziła, że się stopi, że się obwiesi.

Chwyliła się zato procy, upadała pod jej ciężarem. Całe obejście było jej rankami przemienione w ład, porządność... Władka nie przestała kochać. Myśleć o jego postępku nie mogła. Rozdwoiła się w niej jego postać na tygo, który ślubował i tygo, który od niej ucik. Myślała o chwilach, kiedy był przy niej; bolesne były te, w których wyczekiwała na jego przyjście.

Słała w myślach swych chustę na zroszonej trawie. Słała chustę, bo wilgoć szła od stawów...

Śmiało przed siebie patrzyła i na ludzi — tylko tak się zacięła, że słowo niepotrzebne nie wychodziło z jej ust.

Dziwowali się gospodarze, że to teraz w każdym kątku u Lisków przejrzyć się można, kiej w lusterku.

— To wszystko Wikci robota — mówiła matka z dumą.

Kiedy sroga zima przykuwała ludzi do ognisk i pamięć o Władku we wsi zatarła się, bo było już wiele innych zmartwień czy uciech, które u wszystkich na języku gościły, Lisek przypotywał się zadowolony, z jaką zabiegliwością Wikta chodziła okofo gospodarstwa.

Zamyślił się głęboko, aż to znowu pilnie patrzył oczami za Wiktą, to chciał jakby przemówić, to chęci te jakgdyby w gardle mu więzły i słowa tylko bulgotaniem w ustach ostały.

— Pódzi — zawołał na Wiktę z wysiłkiem — Wikta! Mi sie wdz, co ty noma Piórkowioka ostawisz?!

Wikta spłonęła ogniem, drząc cała, nie mogła z siebie wydobyć słowa, ani bliżej ku ojcu postąpić.

Matki nie było natenczas w domu. Szukała jej oczami, oczami wzywała pomocy. Czują się w tej chwili winną przed ojcem, obca dla niego.

— O Panie! O, Kryste Nazareński! Jezusieczku! Takie schańbienie!! — Zakaszlał silnie raz po raz, gwałtownie i zaczął szukać powietrza, dusił się.

Wikta schwyciła kubek z wodą. Nim się przybliżyła stary Lisek wołał:

— Suko!! Wynoś sie domu, wynoś sie!!

Wikta stanęła bezradna, opuściła ręce, a woda z kubka pociekła po jej sukni.

— Póde! odpowiedziała z tępą beznadziejnością, przykuta do miejsca.

Po policzkach ojca płynęły łzy.

— Jednygo dziecioka, Panie, dołeś i takie shańbienie! Przyńdzie taki łoter i zabierze, zabierze i na pośmiewisko rzuci — jęczał ojciec wpatrzony w święte obrazy, rozwieszzone rzędem nad łózkami.

— Co ludzie powiedzom?! Co ludzie powiedzom? — wołał.

Wikta się wprostowała na ostatnie słowa ojcowskie.

— Nie gniewajta sie, żem woma takom krzywde znieśla—odejde!! Ale ludzoim powim, co wara im sondzić! Powim — tu nabrała tehu, jakiejś mocy wewnętrznej, rozgorzenia palącego oczu — powim, com Władka nade życie miłowała.

A za chwilę:

— Ostajta z Bogim! — i skierowała się ku wyjściu.

Wtedy ojca chwycił tak okrutny kaszel, że oczy na wierzeh wyszły, a rękami po izbie chwytął i usunął się na podłogę.

Wikta zatrzymała się po raz wtóry, naczepnęła wody, którą ojciec chciwie pił, przyciskając silnie do ust kubek, jakgdyby obawiał się, że może odebrać.

I tak zmęczonego dusznością posadziła na ławie. Lisek zwołna po ataku przychodził do siebie. Patrzył to na Wiktę, to na święte obrazy i wyszeptał:

— Ostań!

ZAGADNIENIA BARWOKSZTAŁTU.

„Sztuka jest odwrotnością filozofji“.

LUCJAN KREMER.

Litewsko-polski malarz Czurlanis był jednocześnie muzykiem. Obrazy jego, a raczej kompozycje barwoksztaltne noszą charakter kompozycyj muzycznych, dzięki posługiwaniu się plamami barwnymi, linjami i konturami w sposób rytmiczny, polegający na współobecności i następstwach umiarowych, podobnie do utworów muzycznych, opierających się na akordzie i kontrapunkcie, (że tylko powierzchownie tego dotykam).

Częstokroć też z racji rozmaitych kompozycyj malarskich mówi się o muzyce, jak np.: w jednym z ostatnich wypadków o kompozycjach Swierczyńskiego.

Jedna z grup malarzy nosi nawet nazwę „RYTM“.

Wspólną podstawą malarstwa i muzyki jest matematyka w całej swej rozciągłości od najprostszych zadań arytmetycznych, aż po krańce rachunków całkowo-różniczkowych.

Matematyka jest nauką o stosunkach ilościowych, a każda jakość różni się od innych, właśnie ilością. Dwie barwy różnią się ilością drgań, dwa odcinki — ilością jednostek.

Każda linja jest wyobrażeniem jakiegoś równania i da się wyrazić stosunkiem współrzędnych. Ta matematyczność w tak zwanych sztukach plastycznych posiada uderzające przykłady w architekturze gotyckiej, lub ornamentyce arabskiej, że już nawet nie wspomniemy o tańcu. Matematyczność ta, to nie kompozycja, bez której nie ma mowy o dziele sztuki: kompozycja jest objawem woli artysty, świadcząc o człowieczeństwie utworu plastycznego. Tak, jak w muzyce, czy nawet ślusarstwie istnieją w architekturze, rzeźbie, malarstwie, grafice i innych dziedzinach plastyki ćwiczenia techniczne, rozwiązania formalne, kompozycje estetyczne i najwyższa twórczość.

I właśnie o tych szczytach myślał polski esteta, mówiąc o sztuce jako odwrotności filozofji.

Filozofja jest wysiłkiem myśli człowieczej, skierowanym ku zrozumieniu sensu istnienia, istoty Bytu, kompozycji Wszechświata i na najwyższych swych szczytach staje się religją, czyli jakby powiedział bezimienny Indus zlianiem się Atmana z Bramanem.

Sztuka w swoich najszczytniejszych wzlotach jest wysiłkiem myśli człowieczej oddanym objawieniu, wyobrażeniu tego, co drganiem swego dźwięku jest Nieskończonem Słowem. Dzieło sztuki jest więc przez swą kompozycyjność zwierciadłem „harmonji sfer“. Artyści poszczególni na mocy wysiłków osobistych budują te zwierciadła mniej, lub więcej mętne, zależnie od tego czy całkowicie oddają swe siły duchowe osiągnięciu doskonałości, czy nie. Dlatego to

w Historji Sztuki tyle miejsca zajmują zyciorysy artystów — w nich bowiem odnajdujemy wyjaśnienia wad i zalet ich twórczości. Dlatego to np. niepodobna mówić o twórczości W. Blake'a nieuwzględniając jego zyciorysu. Dzięki temu także sztuka staje się wartością społeczną; dodatnią, jeżeli podnosi społeczeństwo, ujemną jeżeli się do niego zniża.

Sztukę tworzą jednostki, wykonywują grupy, szkoły, a używają tłumy. Są jednostki podnoszące społeczeństwo, w przeciwieństwie do zniżających się ku niemu. Jednostki karcące przeciwstawiają się schlebającym. Święci — aferzystom. Amundsensy — Stinnesom.

Tak więc ex re Sztuki poruszyliśmy muzykę, matematykę, filozofję i etykę. Poruszyliśmy je na progu naszych wyślowień i poruszać będziemy w ich dalszym toku, w formie rozważań z punktu widzenia techniki, estetyki, i ideologii, jako zagadnienia barwoksztaltu.

Powodem biegunowych nieporozumień w artykułach o Sztuce plastycznej są krańce, że je nazwę poprzecznymi w historii sztuki (w odróżnieniu od krańców podłużnych) stosowanie pomiarów poziomych, zamiast pionowych, dzięki czemu porusza się zagadnienia szerokości, zamiast zagadnień głębokości, względnie wysokości.

W każdym dziele, traktującym o historii sztuki, na pierwszych stronicach pokazuje się rysunki człowieka jaskiniowego, wyobrażające wizerunki zwierząt i ornamenty zdobnicze na naczyniach gospodarskich, lub narzędziach walk.

W prasie i literaturze poświęconych sztuce nowoczesnej znajdujemy znów fotografie konstrukcyj mechanicznych i technicznych. To są właśnie owe poprzeczne krańce sztuki, z których oglądane np. malowidła Fra Angelica wyglądają najzupełniej fałszywie, bo fałszywie musi wypaść zestawienie obrazu El Greca z garnkiem muryzyna, lub samochodem Forda.

Rzecz to wiadoma i zrozumiała dla uczniów szkół średnich, że barwa żółta w widmie światła (tęcza) przechodzi z jednej strony w pomarańczową, z drugiej w zieloną, lecz nikt nie nazywa żółtemi tych właśnie miejsc przenikania się, lecz miejsca środkowe, gdzie żółtość jest najmocniej nasyconą, natężoną. Niestety w sztuce postępuje się inaczej: mierzy się ją właśnie tam, gdzie ona jako zjawisko ludzkiej twórczości przenika w inne dziedziny.

Jest to postępowanie w najlepszym razie niekompetentne. w najgorszym umyślnie przewrotne.

Między wyobrażeniem mamuta na jego własnej kości, zrobionem przez człowieka przedhistorycznego, a obrazem Rafaela jest taka sama różnica jak między prezentem imiennym, a śmiercią radjotelegrafisty na Titanicu.

Chodzi o wielkość moralną. To, że w masie słońca znajdujemy te same pierwiastki co w masie ziemi nie zmienia ich wzajemnej sytuacji.

Jeżeli więc w garnku barbarzyńcy i na płótnach Rembrandta są takie same barwy to nie znaczy, że są to dwie wielkości wspólne.

Aby nie rozwałkować rzeczy oczywistych odrazu napiszemy to wyraźnie i kategorycznie, że krzeselko, kapelus, samochód, most, dywan, bransoleta i t. p. przedmioty użytkowo zdobnicze nie należą do tego zakresu co akwaforty Brandla, symfonje Beethowena, lub malowidła Malczewskiego.

Raz na zawsze odgrodzić należy artystyczne rzemiosło i konstrukcję techniczną od twórczości plastycznej, niezależnie od miejsca na jakim się ono objawia w witrażu, iluminacji, posągu, rycinie lub gdzieindziej.

Idealnie doskonałe krzesło jest tylko idealnie doskonałym dziełem rzemiosła, tak samo jak motor jest zawsze tylko doskonałym dziełem techniki. To, że wzrok odnajduje w nich wartości estetyczne nie pozwala jeszcze na nazywanie ich dziełami Sztuki, albowiem właśnie tylko dlatego dwa razy dwa jest cztery, żeśmy się tak umówili. Tak samo umówiliśmy się, że do Sztuki plastycznej należą te tylko dzieła rąk ludzkich, które za pośrednictwem barw i kształtów wyobrażają idee, niedające się wyrazić; bowiem właśnie obraz jest odwrotnością, względnie dopełnieniem wyrazu i aczkolwiek pismo nieraz staje się podobne rysunkowi, lub odwrotnie, to każde z nich jest środkiem dla innych dziedzin. Tam, gdzie pismo - wyraz sięga do krańców treści w ideach tam rozpoczyna swój zasięg rysunek - obraz ku bezkresom treści w wizjach.

Mowa wyrazów jest ograniczona w swej zdolności porozumienia, mowa obrazów jest nieograniczona; gdyby chodziło o porównanie (nie argument!) to literaturę nazywałbym mechaniką—zaś malarstwo chemją.

Słowa wchodzą ze sobą w stosunki powierzchniowe, zaś kształty w związki wewnętrzne.

Nie potrzebuję dodawać, że słowa mogą udawać kształty i odwrotnie; a także tego, że najpierwszym sposobem porozumienia się ludzi był rysunek, (bez zjawiska nie może powstać nazwa) i wreszcie — że nie każde zjawisko da się opisać, opowiedzieć; zaś to co jest niewysłowne — jest wyobrażalne — zaś to co jest niewyobrażalne da się ująć w muzykę, poczem następuje bezsłowna, bezwizyjna, milcząca ekstaza natchnienia, wychodząca już poza zakres Sztuki w Górze, tak jak funkcje fizjologiczne wychodzące poza jej zakres na Dole.

Z wyżej powiedzianego wynika, iż niema obawy o to, co tak nieściśle i powierzchownie nazywa się i piętnuje w plastyce jako literaturę. (Można też mówić w literaturze o plastyce),

Wreszcie należy także pamiętać, że w najwyższym rozumieniu tego określenia — nie istnieje jeszcze doskonała twórczość plastyczna, zaś historyczne eweresty tej twórczości są jedynie lotami ikarów.

nie solidaryzując się całkowicie i bez zastrzeżeń z powyższymi wywodami, zamieszczamy niniejszy artykuł, zawierający wiele cennych spostrzeżeń i sformułowań jako materiał dyskusyjny, otwierający w naszym piśmie dział poświęcony plastyce.

„KWADRYGA“

WODY NA MŁYN LEWJATANA.

Rzecz o poezji Mieczysława Brauna.

Cała sprawa tu poruszona byłaby bez znaczenia. Powracanie do rzeczy przeciętnych, nie wyrastających ponad miarę codziennych produkcji literackich ani formalnie, ani treściowo nie miałyby najmniejszego sensu, gdyby nie pewna okoliczność wyjątkowa. Słusznie, czy nieśłusznie Mieczysław Braun uważa się za reprezentanta nielicznej grupy młodych pisarzy społecznych. To jednak samookreślenie się autora nie jest jeszcze momentem dużej wagi. Chodzi o fakt znaczniejszy — Mieczysław Braun uważany jest nieomal powszechnie za młodego, dobrze się zapowiadającego pisarza o tendencjach społecznie proletarjackich.

Jako pisarz społeczny, wystąpił Braun na tle rodzącego się w poezji kultu pracy. Tendencja ta, jak wiemy, powstała, jako reakcja przeciw bezpłodnemu psychologizmowi dekadencek reprezentantów rozpróżnionego środowiska, rozestetyzowanych gogusiów, wygodnie wlokących się u wyjątkowo długiego ogona epigonów Młodej Polski. Społecznie rzecz biorąc, było to przeciwstawienie się niezdrowej nastrojowości mieszczańskiej — tężyzny organizującego się proletariatu. Kult pracy, jako wykwit rodzącej się nowej kultury i świadomości, był zupełnie zrozumiałym i konsekwentnym odpowiednikiem tych przeobrażeń, jakie dokonywały się w łonie samego społeczeństwa. Odształceniom społecznym zupełnie konsekwentnie odpowiadały tu należyte odształcenia w rozwoju sztuki. Nad należytych jednak rozwojem tego napozór dobrze w literaturze postawionego zagadnienia zaciążył fatalnie inny proces, jaki prawie jednocześnie zaszedł na gruncie poezji — natury znacznie ogólniejszej. To, co jest najistotniejsze dla polskiej poezji powojennej, sfalszowało drogi rozwoju poezji społecznej. Liryczne rozdziawienie gęby na widok życia ujrzanego nagle z jego wprost biologicznej strony, wygodne ześlizgiwanie się po jego gładkiej powierzchni, tyle radości przynoszące miłym w swoim chłopięctwie poetom Skamandra, na długi czas zahamowało rozwój wielkiej poezji społecznej, wyłażącej poprostu, jak szydło z worka ze współczesnej rzeczywistości. Praca ukazała się pocie przedewszystkiem jako efekt jej zewnętrznych przejawów i akcesorjów. W konkretnych wierszykach odbiły się niejako jej symbole: monumentalna maszyna i lśniący skurecz spracowanych mięśni. Te symbole, idąc po drodze nie wymagającej żadnego wysiłku,

przyjęto uważać za wyraz istotny współczesności, za wyraz współczesnej rzeczywistości społecznej. Całe sploty najistotniejszych, dramatycznych powikłań, ustosunkowań i zagadnień życia przesiąkły gdzieś jak przez bibułę, przez delikatne włókienka liryki, która w rekompensacie pozyskała dla siebie szereg mocnych efektów, jakich studnią niewyczerpaną jest poezja Brauna.

Wszelkie znaczenie Brauna polega na tem, że jest on okazem typowym. Cała blaga i wierutne zakłamanie się znalazły w nim doskonałego przedstawiciela. Rzemiosła i przemysły — to szerokie pole dla lekkostrawnego snobizmu głupców i „radikalnych“ panienek zamknęły się w tytułach dwu jego wydanych zbiorów poezji, jak dwa lśniące brylanciki w pierścionku znudzonej damy, ziewającej na widok Mont Ewrestu. Zmieniło się oblicze Europy, trzeba zatem zmienić i nasz wygodny snobizm. Skoro tak drogie są paszporty zagraniczne, oglądamy proletarjat, jak wyleniałego lwa w klatce, uprawiając ciekawy wojaż po Łodzi i Zagłębiu. Bezpiecznie i przyjemnie.

Kiedy się czyta owe rzemiosła i przemysły, kiedy przynajmniej ja je czytam, doznaję specjalnego wrażenia. Widzę człowieka, w pięknym, pełnym tężyzny rozmachu, przystępującego do wznoszenia monumentalnego gmachu (zacięcie epickie!), który, wyciągnąwszy ów drapacz chmur coś pod trzecie piętro, nagle wbiega zręcznie na parapet najwyższego okna, skąd zgrabnym ruchem wypuszcza piękną, kolorową raketę kosmiczną. W ten sposób są zbudowane nieomal wszystkie społeczne wiersze Brauna.

U konsekwentnie myślącego pisarza takie obrazy, jak Łódź fabryczna narzucają, jako konieczność ujęcia pewnych splotów zagadnień społecznych z niemi związanych, a co zatem idzie, daje mu pewną określoną postawę społeczną. Braun tych konsekwencji niebezpiecznych konsekwentnie unika. Zręczny i ostrożny człowiek, woli się wyłgać metafizycznym głupstwem. Jeśli tego nie czyni świadomie, to jeszcze gorzej. Świadczy to o złej manierze, która zastępuje mu rozum. Norwid także wołał: „... Witajcie, Anieli pokornej pracy“. Ale u Norwida była głębia myśli i pragnienie podniesienia wartości życia przez pracę pojętą, jako sztukę. A poezja Brauna z jego kultem pracy i kosmicznymi konsekwencjami są wodą na młyn różnych Lewjatanów, o których metafizyczny poeta mówi, że są żelazne i że „szybują w bezmiary“, a o których my wiemy, że są skłonne pożreć nawet własne dzieci. Więc poco to maczenie wody w proletarjackiej kadzi?

Wysunięta przez M. Bibrowskiego, członka Kwadrygi w ubiegłym roku inicjatywa utworzenia Syndykatu Prasy Artystycznej — wbrew przewidywaniom sceptyków — znalazła żywy oddźwięk zarówno w kraju, jak i zagranicą.

Na listy odpowiedziały bardzo przychylnie redakcje z Niemiec, Czechosłowacji i państw bałtyckich. W krajach tych organizują się już ośrodki syndykatu.

Korespondencja z innymi krajami przeprowadzana jest obecnie w coraz szerszej skali i wszędzie projekt budzi wielkie zainteresowanie.

W kraju, do zorganizowania Syndykatu postanowiono przystąpić drogą urzędzenia zjazdu przedstawicieli wszystkich zainteresowanych redakcyj. Zjazd ten będzie miał za zadanie ustalić ramy organizacyjne powstającej Instytucji.

Tymczasem zawiązano Komitet Organizacyjny, który zajmuje się przygotowaniem i urządzeniem zjazdu, projektowanego na koniec wiosny b. r., oraz stworzono biuro Syndykatu. Biuro zainstalowano tymczasem przy ul. Hipotecznej 5/7 (tel. 96-55, godziny urzędowania w piątki 17—19). Rozpoczęło ono działalność i poza przeprowadzaniem korespondencji i opracowywaniem projektów wniosków na Zjazd — przystąpiło do wydawania dwutygodniowego biuletynu. Pierwszy numer biuletynu (za czas od 1-go do 15-go stycznia) ukaże się 20 b. m. i zostanie natychmiast rozesłany redakcyjom. Zgłoszenia na biuletyn biuro posiada od pewnej ilości redakcyj pism polskich i obcojęzycznych w kraju, oraz od bardzo znacznej ilości pism zagranicznych. Zawierać on będzie streszczenie, lub omówienie wszystkich artykułów, jakie ukażą się w pismach artystycznych krajowych w okresie sprawozdawczym.

Finansowe istnienie biura oparte jest tymczasem na funduszach dostarczonych łaskawie przez niektóre z zainteresowanych redakcyj. Na przyszłość zaś poza przewidywanym pewnym dochodem z prenumeraty biuletynu, który bezpłatnie dostarczany będzie jedynie członkom Syndykatu, finansowe podstawy biura oparte będą na składkach członkowskich.

W lutym biuro przystąpi również do wydawania analogicznego biuletynu zagranicznego.



KONKURS.

W bieżącym roku ukażą się pierwsze tomy biblijoteki „Kwadrygi“. W związku z powyższem w końcu ub. roku ogłoszono w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie, konkurs na okładkę książki naszej biblijoteki. Pomimo krótkiego terminu, nadesłano siedem prac (jedna z warjantem).

Do sądu konkursowego weszli:

Ze strony Szkoły Sztuk Pięknych: prof. E. Bartłomiejczyk i prof. K. Stryjeński;

Ze strony „Kwadrygi“: J. Horzelski, M. Bibrowski i T. Cieślewski.

Sąd konkursowy odbył się dnia 18 grudnia 1928 r. w sali posiedzeń Szkoły Sztuk Pięknych.

Po trzech głosowaniach eliminacyjnych — jednogłośnie przyznane jedyną nagrodę w wysokości 150 zł. pracy oznaczonej godłem „S. C.“ -- którego autorem okazał się p. Stanisław Ostoja Chrostowski.

STANISŁAW CIESIELCZUK

PIES KOSMOSU

poezje

STANISŁAW R. DOBROWOLSKI

POŻEBNANIE TERMOPIL

poezje

STEFAN FLUKOWSKI

SŁOŃCE W KIERACIE

poezje

KONSTANTY I. GAŁCZYŃSKI

PORFIRJON OSIEŁEK

CZYLI KLUB ŚWIĘTOKRADCÓW

powieść

NINA RYDZEWSKA

D L A C Z E G O

poezje

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

CIEŃ SKRZYPKA

poezje

BIBLIJOTEKA

KWADRYGI

wydawnictwo

F. HOESICKA

Tomy ukażą się

W LUTYM

ROKU 1929

P. Lewenton — Łódź.

Nadesłany utwór p. t.: „Dzień pracy“ nie nadaje się dla naszego pisma.

J. Grzelka — Warszawa.

Nadesłany wiersz p. t.: „Nędzarka matka“ nie nadaje się do druku z powodu nieodpowiedniego poziomu faktury poetyckiej (przestarzałe, banalne i naiwne obrazowanie i chwytystyczne). Należy jeszcze bardzo wiele pracować nad techniką pisarską i formą poezji. W sprawie należenia Pana do grupy poetyckiej nie możemy nic poradzić. Nie należy grupy traktować jako szkoły, czy seminarjum, a trzeba do niej przyjść z pewnymi istotnymi wartościami, przyjść jako mniej-więcej równorzędny współpracownik. Prosimy o szczegółowsze sprecyzowanie Pana stanowiska wobec zjawisk literackich i bliższego określenia powodów zgłoszenia akcesu do grupy poetyckiej.

Jan Szczarowiej.

Nadesłany wiersz p. t.: „Miłość“ nie nadaje się do „Kwadrygi“. Forma jest w nim poprawna, ale wiersz jest zbyt osobisty i niczem nie przemawia. Dziś już zwykle przeżycia indywidualne, choćby poprawnie wypowiedziane nie są pożądaną poezją. Prosimy o dalsze próby.

KSIAŻKI NADEŚLANE.

ANTONI MARCZYŃSKI. — *Pieczeń z Antylopy.* (Opowiadania).

„Rój“ — 1928.

HENRYK DUVERNOIS. — *Bestja.* (Nowele). „Rój“ — 1928.

LEO BELMONT. — *Niepotrzebny człowiek.* Powieść filmowa. „Rój“ — 1928.

RIDER HAGGARD. — *Zemsta Mairwy.* Powieść egzotyczna, przełożył W. Zechentner. „Rój“ — 1928.

JIM POKER. — *Wyspa męży.* Powieść. „Rój“ — 1928.

ARKADJUSZ AWERCZENKO. — *Humor dla głupców,* przełożył E. Cękański. „Rój“ — 1928.

O. HENRY. — *Szlachetny farmazon.* Przełożył A. Wat. „Rój“ — 1928.